



Randka z komplikacjami

Znieba spadały lodowate krople deszczu. Wzmagał się mroźny wiatr, który raz po raz omiatał wioskę ukrytą w ciemnościach nocy. Było wyjątkowo nieprzyjemnie i pomimo faktu, że w najlepsze trwał właśnie sobotni wieczór, główna droga wioski była zupełnie pusta. Nikt nie decydował się na opuszczanie przytulnych izb, o ile nie było to absolutnie konieczne. Większość mieszkańców wioski już dawno stłoczyła się w lokalnych pubach.

Mimo to ledwie dosłyszalny trzask łamanej gałązki zwiastował pojawienie się kogoś na spowitej w ciemnościach drodze. Niska,

dość przysadzista i zakapturzona postać z twarzą ukrytą pod wielkim kapturem wyłoniła się z mroku, a jej sylwetkę rozświetliła pobliska latarnia.

Przybysz kroczył po kostki w błocie, starając się omijać kałuże. Zatrzymał się na chwilę przy latarni i rozejrzał wokoło. Kiedy upewnił się, że nikogo nie ma w pobliżu, włożył dłoń do głębokiej kieszeni swojego czarnego płaszcza i wyjął z niego coś, co wyglądało na małe, podręczne lusterko w kształcie kwadratu.

— Jesteś pewien, że to konieczne? — spytał jakiś aksamitny kobiecy głos dobiegający z owego lusterka, które przybysz wyjął właśnie z kieszeni, a w którym pojawiła się twarz jakiejś uroczej brunetki. — Nie do końca mi się to podoba.

Zakapturzony przybysz westchnął ciężko.

— Rozmawialiśmy już przecież o tym — odrzekł ze zniecierpliwieniem. — Ona zrobiła dokładnie to samo.

Twarz pięknej brunetki, objawiona w małym lusterku, wykrzywiła się w grymasie niezadowolenia.

— No dobrze — stwierdziła chłodno. — Rób jak uważasz. Ale wiedz, że mi się to bardzo nie podoba.

Przybysz ponownie ciężko westchnął.

— Odezwę się, jak już będzie po wszystkim — stwierdził i pospiesznie ukrył lusterko ponownie w kieszeni swojego płaszcza, jednocześnie wyciągając przed siebie kilkucalowy patyk. — *Lumos* — mruknął, a różdżka rozjarzyła się nikłym światłem, nieco rozświetlając rozmokłą drogę.

Tajemniczy czarodziej zaczął ponownie maszerować, starając się omijać wielkie kałuże. Na niewiele się to zdało, bo deszcz padał przez niemal całą drogę i od dawna był już całkowicie przemoczony. Postanowił jednak zająć się tym problemem dopiero, gdy dotrze na miejsce.

Kiedy skręcił w jedną z bocznych uliczek, dostrzegł w oddali rozświetlone gęby dwóch dyni stojących obok drzwi do jakiejś

obskurnej gospody na końcu drogi.

— Widzę, że w tym roku zaczęli świętować Noc Duchów wyjątkowo wcześnie — westchnął i nieco zniechęcony ruszył uliczką, zatrzymując się po chwili pod drzwiami wspomnianej gospody. Wyglądała jakby miała się za chwilę zawalić. Nie posiadała okien, a jedynie wąskie wykusze, które były tak brudne, że ledwie dało się przez nie cokolwiek dostrzec. Nad drzwiami wisiał szyld z namalowanym na nim obciętym świńskim łbem, z którego kapłała krew.

— Jesteś pewien, stary, że chcesz tam wchodzić? — spytała niespodziewanie jedna z dyni, kiedy czarodziej chwycił za klamkę i już miał wejść do środka.

— Przed chwilą weszła tam najohydniejsza baba, jaką widziałem — dodała druga dynia, z wyraźnym rozbawieniem. Czarodziej obdarzył je pobłażliwym spojrzeniem, ledwie dostrzegalnym spod kaptura.

— Ten babsztyl wyglądał jakby dopiero co dostał w gębę jakimś strasznym urokiem — kontynuowała dynia.

— Dokładnie! — poparła ją druga. — Do tej pory mam ciarki na plecach!

— Przecież ty nie masz pleców, durniu — odrzekł z poirytowaniem czarodziej, a obie dynie wyraźnie się oburzyły. Nie zdołały jednak nic odpyskować, bo przybysz otworzył szeroko drzwi i nie zwlekając ani chwili dłużej, wkroczył do gospody.

W środku karczma wyglądała jeszcze gorzej niż na zewnątrz. Oczom czarodzieja ukazała się niewielka obskurna izba, pozostawiana grubo ciosanymi stołami. Równie brudnymi jak wykusze czy podłoga, której właściwie nie było widać pod grubą warstwą błota i słomy. Na szczęście, w rogu izby znajdował się kominek, więc było tutaj nieco cieplej niż na zewnątrz.

Kiedy przybysz zrzucił kaptur i jednym machnięciem różdżki osuszył swoje szaty, w świetle lamp można było wreszcie do-

strzec jego twarz. Był to młody mężczyzna o pociągłej twarzy, szarych oczach i przerzedzonych czarnych włosach, których ocalałe resztki sterczały niesfornie na wszystkie strony.

— Po raz pierwszy w tych stronach? — zagadnął go barman, kiedy podszedł do baru, rozglądając się po tłumie klientów stłoczonych przy stolikach. Wyraźnie kogoś szukał.

— Co podać? — spytał gburowato barman, kiedy poprzednie jego pytanie zostało zignorowane.

— Pozwoli pan, panie Dumbledore, że wstrzymam się z zamówieniem — odrzekł uprzejmym tonem czarodziej, zerkając w końcu na podstarzałego barmana, który wiercił go teraz nieprzyjemnym spojrzeniem. — Jestem z kimś umówiony i najpierw podejść się przywitać.

— Chyba nie z tą pękatą loszką, co? — spytał Dumbledore, wskazując palcem na stół w kącie izby, przy którym samotnie siedziała niska i tęga czarownica, odziana w paskudną różową suknię, opinającą fałdy tłuszczu na jej brzuchu.

— Niestety z nią — odrzekł sucho przybysz, kiedy dostrzegł pulchną twarz naznaczoną dwoma włochatymi brodawkami, zlokalizowanymi w okolicy kartoflanego nosa. — Prakseda Uggly-foot.

Dumbledore parsknął śmiechem.

— Nie tylko stopy ma paskudne — zakpił. — Kiedy weszła do gospody, kilku goblinów uciekło na jej widok w popłochu, a jedna wiedźma natychmiast zwymiotowała.

Przybysz nerwowo zachichotał. Sam wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować.

— To ja pójdę się przywitać — stwierdził z rezygnacją w głosie i niepewnym krokiem ruszył w kierunku grubej czarownicy, która dostrzegła go w tłumie i wnikliwie zaczęła mu się przyglądać, prześwietlając go wzrokiem od stóp do głów, z posepnym wyrazem twarzy.

— Witam serdecznie, panno Ugglyfoot — rzekł czarodziej, stając przy jej stoliku, a szpetna czarownica wyciągnęła swoją tłustą rękę pełną wielkich, tandetnych pierścionków. Przybysz starając się powstrzymać odruchy wymiotne, zamknął oczy i ucałował jej dłoń.

— Sądzę, że kawiarnia pani Puddifoot byłaby odpowiedniejszym miejscem na takie spotkanie, mój drogi Martinie — stwierdziła piskliwym głosem czarownica, spoglądając na czarodzieja z wielkim zainteresowaniem. Martin nerwowo zachichotał.

— Ma pani rację, panno Ugglyfoot — zaczął, starając się nie zerkać na jej wielkie, włochate brodawki, które sterczały ohydnie, przysłaniając pół twarzy grubej baby. — Woląłem jednak bardziej dyskretne miejsce. Nie chcemy przecież, żeby ktoś zakłócił nasze spotkanie, prawda?

Prakseda obdarzyła go przenikliwym spojrzeniem, w którym Martin dostrzegł złowieszczy błysk ekscytacji. Na pulchnej gębie panny Ugglyfoot pojawił się przyprowadzający o dreszcze uśmiešek, który odsłonił jej poźółkłe i powykrzywiane zęby. Martin zdał sobie sprawę, że jego plan działa. Niestety.

— Mój drogi, twoje listy były bardzo pochlebne — powiedziała czarownica, nachylając się w stronę Martina na tyle blisko, że czarodziej poczuł fetor z jej ust i pospiesznie przełknął ślinę, powstrzymując w ten sposób odruchy wymiotne.

— Och tak, kochaniutka. Bo... bardzo mi się podobasz... — wyrzucił z siebie z wielkim trudem Martin, sam nie dowierzając swoim słowom, a trzy wiedźmy siedzące przy stoliku obok wybuchły śmiechem.

— Lepiej spraw sobie porządne okulary, młodzieńcze! — zaśmiała się jedna z nich, z obrzydzeniem zerkając na Praksedę.

— Co to ma znaczyć?! — oburzyła się tęga czarownica, gwałtownie wstając i zaciskając w złości swoje tłuste pięści. — Uwaga, że jestem brzydka?!

Wiedźmy zarechotały i pokiwały twierdząco głowami, a kilku czarodziejów z parszywymi gębami także im przytaknęło.

— Absurd, jesteś piękna, moja kochana Praksedo! — zawołał desperacko Martin, powstając i chwytając swoją towarzyszkę za dłoń, aby ją uspokoić.

— Ty jesteś nienormalny! — krzyknęła z rozbawieniem jedna z wiedźm, a dwie pozostałe zaczęły pukać się w czoło i wskazywać na Martina.

Sytuacja wymykała się spod kontroli, a przecież Martin nie mógł pozwolić, aby jego plan się nie powiódł. Postanowił więc rzucić zaklęcia zagłuszające i kamuflujące, tak aby nikt więcej im nie przeszkadzał. W końcu ćwiczył je od dłuższego czasu, tak na wszelki wypadek. Kiedy po kwadransie udało mu się uspokoić tęgą czarownicę, głównie za sprawą kłamliwych i bezwstydných komplementów, mógł wreszcie przystąpić do realizacji swojego planu.

— Moja droga, czy to prawda, że pracujesz w Departamencie Tajemnic? — spytał z zaciekawieniem. Praksesta obdarzyła go podejrzliwym spojrzeniem i chwilę się zawahała, zanim udzieliła odpowiedzi.

— Tak, a bo co? — burknęła skrzeczącym głosem.

— To fascynujące. Podobno zajmujecie się tam niesamowitymi rzeczami. — Martin z trudem silił się na beztroski ton. — Słyszałem, że badacie, na przykład, zmieniacze czasu?

Praksesta oblizwała nerwowo usta.

— Nie badamy, bo wszystkie zmieniacze czasu zostały zniszczone — stwierdziła chłodno. Martin z wielkim trudem wyciągnął rękę i pochwycił pulchne palce swojej towarzyszki.

— Podobno — rzekł rozczulającym tonem, usiłując nadać romantyczny ton spotkaniu, co było niewątpliwie bardzo trudne, biorąc pod uwagę, z czym przyszło mu się zmierzyć. — Słyszałem jednak, że byłaś, moja droga, kilka razy widywana w dwóch

miejscach jednocześnie...

Prakseda wyrwała swoją pulchną dłoń z palców Martina i cofnęła rękę.

— Co ty niby sugerujesz?! — oburzyła się, a jej podwójna broda zakolysała się nerwowo. Martin starał się zachować spokój, choć czuł, że zaczyna mu się palić grunt pod nogami.

— Nic nie sugeruję, kochaniutka — odrzekł, ponownie siląc się na beztroski ton i robiąc maślane oczy. — Po prostu zastanawiam się, czy przypadkiem nie masz w posiadaniu jakiegoś zmieniaacza czasu?

Pulchną twarz Praksedy wykrzywił uśmiezek. Nachyliła się do swojego towarzysza na tyle blisko, żeby mogli szeptać.

— A jeśli mam, to co? — spytała konspiracyjnym tonem, a Martin poczuł ponownie odór z jej paskudnej gęby.

— Mógłbym go zobaczyć? — spytał Martin, starając się udawać zafascynowanego, jednocześnie odsuwając się nieco od czarownicy, żeby smród z jej gęby nie był aż tak bardzo wyczuwalny. — Nigdy żadnego nie widziałem na własne oczy.

— A co będę z tego miała, kochaniutki? — spytała, zerkając na Martina pożądliwym wzrokiem.

— Jeśli pokażesz mi zmieniaacz czasu, ja też ci pokażę coś, czego nigdy nie widziałas — wypalił dwuznacznie Martin i natychmiast skarcił siebie za to w duchu. Okazało się jednak, że słowa te trafiły na podatny grunt.

Prakseda oparła się o krzesło i zaczęła ponownie taksować go wzrokiem. Wyglądała jak mantykora szykująca się do skoku na swoją ofiarę.

— No dobrze, maleńki — odparła wyraźnie podniecona (co Martina przyprawilo o dreszcze). — Pokażę ci coś mojego, a potem wynajmiemy pokój i ty mi pokażesz coś swojego...

Martin gorzko przelknął ślinę, ale przytaknął kiwnięciem głowy. Tęga czarownica pochwyciła jedwabny szal, którym miała

opatuloną szyję i odwinęła go, odsłaniając ramiona i wielki dekolt. O wiele większy niż życzyłby sobie tego Martin, który na widok jej sflaczałych, piegowatych piersi wiszących jej do pasa zdusił w sobie ponownie odruch wymiotny. Z trudem skupił swój wzrok na maleńkiej klepsydrze zawieszanej na łańcuszku i spoczywającej na ohydnych piersiach Praksedy.